

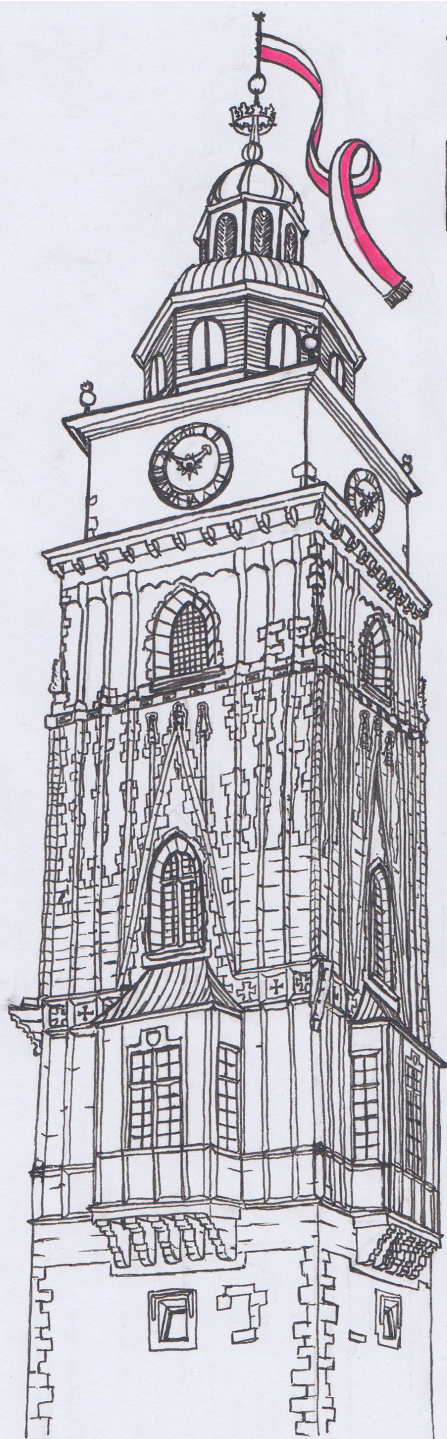
MARGINES

LISTOPAD 2017 SZKOŁA ● UCZNIOWIE ● PRASA

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY
NAKŁAD WŁASNY

31 X
1918

WOLNY
KRAKÓW



W numerze

- 2 Czołem redaktora
- 3 Jak przeżyć zimę
- 3 Trust me, I'm The Doctor
- 4 Szkoła w Państwie Środka
- 4 Z cyklu: ważne daty – Grunwald, 966 r.
- 5 Dzień niezorganizowalności
- 6 „Cudze chwalicie, swego nie znacie...”
- 7 Grupy etniczne w naszym technikum
- 7 Pomartwię się tym jutro...
- 8 Nurkowanie – mity i fakty
- 9 Biegiem przez Kraków
- 10 Apokalipsa nie całkiem świętego Technika

Czołem redaktora Paweł Hadrian

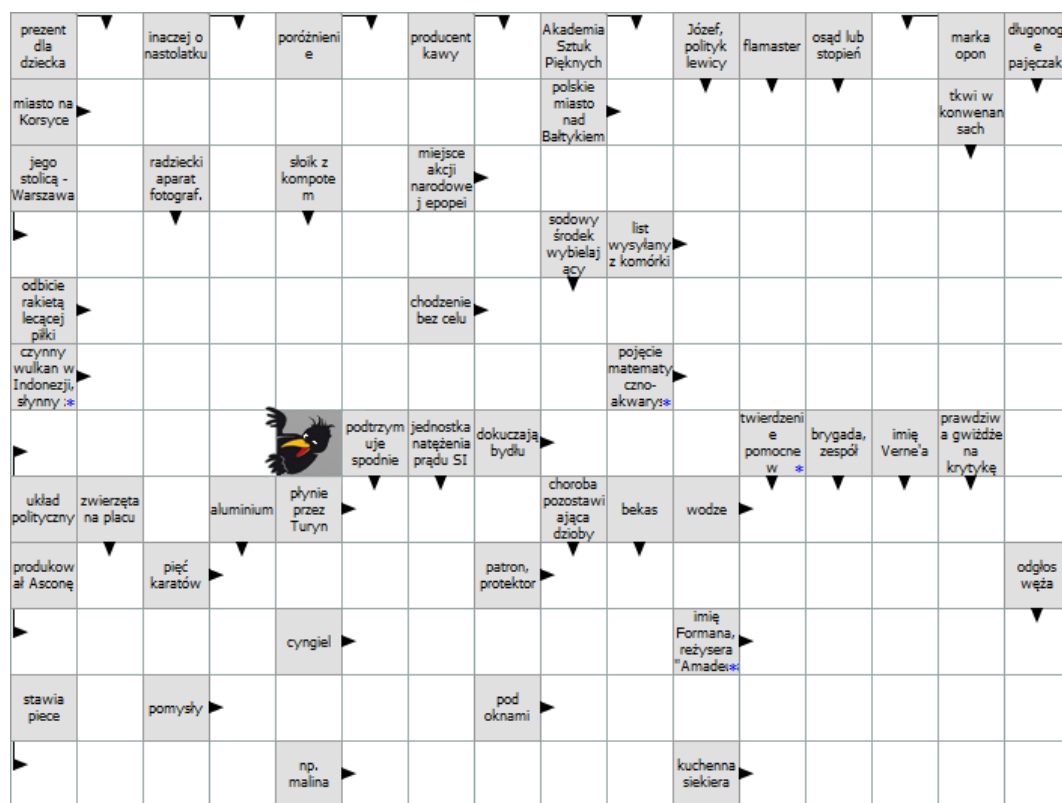
Czołem drodzy Czytelnicy! Nasze redaktorskie oczęta są już nieco zmęczone, więc wraz z resztą „Marginesowego” zespołu zdecydowaliśmy się odejść od okulistycznych wstępniaków, dając tym samym wykazać się też innym częścią ciała. Pierwszy od czoła, w listopadowym numerze znajduje się artykuł autorstwa AugRev pt. „Jak przeżyć zimę”, czyli przydatne wskazówki na nadchodzącą porę roku. Przypominam też, że tegoroczna zima, jak zresztą co roku, ma być „zimą stulecia”. W dalszej kolejności Wernon zachęca nas do podróży w czasie z chyba najbardziej znanym doktorem świata, czyli tekst „Trust me, I'm The Doctor”. Następnie relacja wprost z ojczyzny Konfucjusza, fajerwerków

i Aliexpress, zatytułowana

„Szkoła w państwie środka” spisana przez Pawła Suchana. W temacie wyjazdów i turystyki jawi się też felieton „Z cyklu ważne daty – Grunwald, 966 r.” Czytając dalej, trafimy na anonimowy artykuł o tym, co można nazwać „Dzień niezorganizowalności”, a więc kolejną relację jednakże mniej kolorową niż uprzednio wspomniana. Trzymając się klimatów listopadowych, publikacja mojego autorstwa pt. „Cudze chwalicie, swego nie znacie...”, traktuje o Dziadach, bynajmniej nie Mickiewiczowskich. Jako że w dzisiejszych czasach prywatność to rzecz święta, pod następnym artykułem, „Grupy etniczne w naszym technikum”,

również nie podpisał się nikt, a więc autorem może być każdy z naszej „łącznościowej” rodziny. Następnie, co rzadko się zdarza, jedyna w numerze recenzja poczyniona przez Michała, zatytułowana „Pomartwię się tym jutro...”, a więc, jak niektórzy pewnie już się zorientowali, rzecz o książce pt. „Przeminęło z wiatrem”. To wciąż nie koniec, przed nami jeszcze skok w morskie głębiny, czyli „Nurkowanie – mity i fakty”, tekst o sporcie bardzo (aczkolwiek jednak trochę) ekstremalnym. Na zakończenie, zachowując biblijną kolejność, „Apokalipsa nie całkiem świętego Technika”, to jest, łącznościowa wersja księgi Objawienia.

Zapraszam więc do lektury i chylę czoła przed całą Redakcją, której udało się przygotować do bieżącego numeru tyle świetnych tekstów.



Gazeta Szkolna ZSŁ

Redakcja w składzie:

Paweł Hadrian (red. naczelny), Michał Romek (skład), Aleksandra Świerczek, Weronika Adamek, Anna Łowińska, Krzysztof Głowacki, Michał Grabowski, Paweł Suchan, Jan Kuśmierczyk, Piotr Mazurek, Konrad Miękowski.

Opieka/konsultacja/korekta:

mgr Bogusław Bogusz

e-mail: margines@tl.krakow.pl

www: margines.tl.krakow.pl

MARGINES

Jak przeżyć zimę

AugRev

Za oknem mróz i szarówka, a w środku depresja. Co zrobić, żeby przetrwać w tym mroźnym okresie roku?

Zima zbliża się nieubłaganie szybko. Coraz częściej zamiast śniegu pada deszcz, a zamiast parady parasoli przez ulice przetaczają się puchate kule w czapkach i szalikach. Jest to okres najmniej przyjemny ze wszystkich (przynajmniej w moim odczuciu), więc trzeba sobie jakoś poradzić, by przetrwać go jak najprzyjemniej.

- Pierwszą rzeczą jest przede wszystkim ciepły napój. Kawa, herbata, kakao, sok, nieważne. Miej tego zawsze dużo przy sobie. Ciepły napój w zimne dni to błogosławieństwo.

- Oprócz ciepła wewnętrznego, potrzeba też ciepła zewnętrznego. Szale, czapki, kurtki, rękawiczki to absolutny wymóg zapewniający bezpieczeństwo w zimie. Przynajmniej przed odmrożeniem.

- Wykup subskrypcję Netflix'a na przynajmniej 3 miesiące. Nic tak nie relaksuje po ciężkim dniu jak wieczór spędzony przy dobrym serialu. Jeśli jednak wolisz bardziej interaktywną rozgrywkę, zaopatrz się w kilka nowych gier ulubionego gatunku. Wydaj pieniądze, co ci szkodzi? A może wolisz książki? Więc kup książki! Każdy sposób na marnowanie czasu jest dobry.

- Wyposaż się w kilka miękkich koców. Nie dość, że są ciepłe i puchate, to jeszcze są swoistą barierą przed światem zewnętrznym.



- Zbieraj zapasy. Piękna polska zimna zaskakuje nie tylko kierowców, więc droga do najbliższego sklepu może nagle zniknąć pod kilkumetrową warstwą śniegu. Przygotuj się na to. Zapełnij lodówkę już teraz.

- Nieopuszczaj swojej wygodnej krypty, jeśli nie musisz. Pamiętaj, zimowy dzień spędzony w domu to dobry dzień.

- Kup sobie termofor. Kolejna rzecz, która rozgrzeje twoją skostniałe ciało, nigdy nie jest zła. A jeśli masz zwierzaka, to zaoszczędzisz na kosztach. Naturalny termofor to najlepszy termofor.

- Myśl pozytywnie. Czasami prosta myśl może poprawić ci humor na cały dzień. No chyba, że nauczyciel wyrwie cię do odpowiedzi. Wtedy wszystko na marne.

- Za duże bluzy z kapturem to klucz do sukcesu.
- Znajdź sobie jakąś motywację do

codziennego wstawania. Może to być ciepła kawa, chęć spotkania ze znajomymi lub kanapka z jajkiem ze szkolnego bufetu. Każda myśl jest dobra.

- NOŚ BUTY NA ZMIANĘ. Bieganie w zimie po szkole w klapkach albo crocsach to słaby pomysł.

- Jeśli gdzieś się spieszysz, wychodź wcześniej z domu. Zima to okres największego poślizgu komunikacyjnego (dosłownie).

- Jeśli jesteś artystą, to zima jest tym okresem, w którym masz kacić i nie chcesz się nic robić. Znajdź sobie dobry punkt obserwacyjny, wyciszającą oraz inspirującą playlistę i obserwuj. A noż widelec jakiś pomysł wleci do pustej głowy i odbije się w niej echem tyle razy, że zachce ci się coś zrobić.

- Kierowcy, bądźcie ostrożni. W tej najbardziej niewdzięcznej porze roku o wypadki łatwiej niż w jakimkolwiek innym czasie.

Trzymajcie się ciepło i nie dajcie się ponieść zimowej chandrze. A jak już was dopadnie, memy to najmniej szkodliwe i równie skuteczne antydepresanty.

Trust me, I'm The Doctor

Wernon

Czy kiedykolwiek nudziła was przewidywalność głównego bohatera lub fabuły serialu? Z serią „Doctor Who” jest to niemożliwe.

Ten fenomenalny, brytyjski serial, stworzony przez BBC, opowiada historię ostatniego przedstawiciela rasy Władców Czasu, Doktora (ang. The Doctor), który podróżuje przez czas i przestrzeń, walcząc z kosmitami, na swoim statku kosmicznym zwanym TARDIS, który jest większy w środku, niż na zewnątrz, a wygląda jak angielska, niebieska budka telefoniczna (ang. Police Box) z drugiej połowy XX wieku. „Doctor Who” zyskał sobie sympatię fanów na całym świecie głównie dlatego, że jako jeden z niewielu Doktor brzydzi się przemocą i osobami, które się nią posługują, więc do walki z nimi wykorzystuje swój genialny umysł i dwa serca, aby okazywać dwa razy więcej miłości i dobra tym, którzy na nie zasługują.

Ogólny podział jest taki, w latach 1963-1989 powstało 26 sezonów tzw. „Classic Who”, które opowiadają o pierwszych 7 regeneracjach Doktora oraz jego przygodach w czasie i przestrzeni wraz z jego towarzyszami. Po szesnastoletniej przerwie powstało następne 10 sezonów, w których możemy oglądać perypetie kolejnych 5 wcieleń ostatniego Władcy Czasu w towarzystwie jego nowych współtowarzyszy. Nowa odsłona serialu została jednak tak sprytnie napisana, że nawet bez oglądania „Classic Who” można się połapać, o co chodzi we współczesnej kontynuacji.

Oprócz zwykłych odcinków przez cały czas trwania serii powstawały również filmy nawiązujące do niewyjaśnionych zagadnień serii lub tzw. „Specjały świąteczne”, czyli specjalny odcinek wydawany co roku na święta Bożego Narodzenia, w którym zwykle możemy zobaczyć kolejną wspaniałą przygodę czy też regenerację Doktora. Serdecznie polecam serię o Doktorze, każdemu kto ma dość

monotonii i nudy, ponieważ serial zapewnia emocjonalny rollercoaster od ponad 50 lat dla osób w każdym wieku, dzięki możliwości regeneracji i podróży w czasie oraz przestrzeni serial otwiera przed sobą drzwi do nieskończonych możliwości i wariacji scenariusza. Podejrzewam też, że wspaniała obsada, która przez te wszystkie lata przewinęła się w serialu, również przysporzy mu wielu fanów.

Aktualnie widzowie serialu z całego świata oczekują na premierę świątecznego odcinka, w którym, wg zapowiedzi, musimy się pożegnać się z Dwunastym Doktorem, aby powitać pierwszą kobietę-Doktor, która będzie naszą szczęśliwą Trzynastką, a stanie się to w Wigilię Bożego Narodzenia 2017 roku.



Szkoła w Państwie Środka

Paweł Suchan

Często spotykamy się z różnymi odmiennymi zachowaniami w innych państwach i nierzadko są to Chiny. Odwiedzając ten kraj, możemy zweryfikować różne rzeczy i wiele z nich może okazać się mitem. W tym artykule chciałbym pokazać życie ucznia w chińskiej szkole w Xuzhou, w której byliśmy goszczeni jako uczniowie z wymiany.

Obiekt, w którym znajduje się szkoła, przypomina małe, ogrodzone miasteczko. Ten instytut ma wiele działów, które posiadają swoje osobne budynki. Oddzielne budynki są również przypisane internatowi. Znajduje się tam parę obiektów zagospodarowanych jako internat m.in. po to, aby rozdzielić młodzież płci męskiej i żeńskiej. Można znaleźć tam parę sklepów z różnym asortymentem, jak również fryzjera, aptekę czy nawet lekarza. Wszystko to przedzielone jest asfaltowymi uliczkami. Przy tym nie brakuje zieleni, przez co możemy powiedzieć, że ten instytut wygląda lepiej niż niejedna mała miejscowość w Polsce.

Uczniowie tam mają obowiązek mieszkać w internacie przez tydzień, jeśli ich dom znajduje się dalej niż 5 km od szkoły. Przy tym nie wolno im opuszczać terenu szkoły nawet po zakończonych zajęciach, jeśli zdeklarują się mieszkać w internacie. Stworzone ogrodzenie pozwala policji, która stacjonuje przy wjeździe, na monitorowanie, kto opuszcza bramy szkoły.

Młodzież uczęszczająca do tej szkoły zaczyna lekcje od porannej rozgrzewki na pięknym stadionie, który oczywiście również został stworzony na własność szkoły. Rozgrzewkę zaprezentowano nam na ceremonii sportu i można było za-

uważyć świetną synchronizację ruchów mimo tak wielkiej liczby osób. Oglądając tylu ludzi robiących te same ruchy niemal jednocześnie, przy tak równym ustawieniu i dodatkowo w jednakowych strojach, można być pod wielkim wrażeniem. Zdjęcie, które zostało dołączone do artykułu, zostało zrobione właśnie na tej ceremonii, ale obejmuje tylko część stadionu.



Została nam również pokazana warsztatowa część szkoły, stworzona do edukacji elektroników. Można było zauważyć świetne wyposażenie m.in.: windę do pokazania zasady jej działania, makietę pociągu wraz z symulatorem, przy tym centrum sterowania pociągiem na makiecie miasta, jak również część bramek takich, jakie znajdują się na dworcach. Dodatkowo sale przystosowane do sterowników PLC lub internetowego przesyłania danych i wiele innych, które również budziły podziw wśród uczniów naszej szkoły.

Sam sposób nauczania młodych ludzi jest dość odmienny niż w Polsce. Z rozmowy z uczniami i nauczycielami można było wywnioskować, że są oni przygotowani to szybkiej pracy przy urządzeniach bez większej analizy działania. Przez taki sposób nauki mają spory problem z naprawieniem czegoś lub ze znalezieniem przyczyny nieprawidłowej pracy, ale trzeba przyznać, że czasy skręcania elementów mają rekordowe.

Porównując nasze ZSŁ oraz Xuzhou Technician Institute, można zauważyć u nas słabiej wyposażone pracownie i gorszą infrastrukturę terenu szkoły, ale widać również większą swobodę dla uczniów oraz uczenie kreatywnego myślenia, które pozwala nam podjąć się naprawy czy instalacji różnych urządzeń elektronicznych, a nie tylko takich, z którymi mieliśmy do czynienia na zajęciach.

Z cyklu: ważne daty – Grunwald, 966 r.

Anonim

Krocząc ostatnio ulicami niegdyśjszej stolicy Polski, zobaczyłem dość duży tłumek wokół jednego z wszechobecnych kramików sprzedających plastikowe smoki wawelskie z krzywym podpisem: „Pozdrowienia z Krakowa”. Podeszedłem bliżej, w końcu niecodziennie zdarza się próba symulacji bliskowschodniego targowiska, co też sprzedawca próbował uczynić, zachwalając swój towar tak głośno, że zacząłem wątpić, iż leżący niepodal martwy gołąb opuścił ten świat z naturalnych przyczyn.

Kramarz trzymał w ręku bryłę połączanego plastiku wyglądającego jak Święty Mikołaj po nieudanej operacji plastycznej twarzy siedzący na koniu, co miało według niego

przedstawić posążek króla Polski, jak głosiła tabliczka przy jego kanciastych butach: „Mieszko I, 1410”. Po chwili dość spora gotówka posiadana przez, jak mniemam po łamanym angielskim, obcokrajowca została wymieniona na tą niezgrabną szkaradę.

Oddalając się od miejsca sromotnej klęski zdrowego rozsądku nad turystyką, zacząłem myśleć nad powodem, który kieruje turystami kupującymi taki oczywisty kicz. Doszedłem do wniosku, że znakomita część społeczeństwa jadąca na wakacje chce je pamiętać. Jako że żyjemy w dość zaawansowanych technicznie czasach, waga zapamiętywania wakacji czy urlopu i przeżywania ich w stu procentach naturalnie trochę straciła na wartości. Wystarczy pójść do sklepu z pamiątkami, kupić parę drobiazgów, kartkę pocztową i po powrocie do domu ustawić je na meblościance bądź na haftowanej przez prababcię serwetce leżącej na telewizorze, jeżeli podróż znaczyła wiele w naszym życiu. Wtedy przy każdym sprzątanu jest dobry powód, żeby ponarzekać, jak wszystko się kurzy i zajmuje miejsce. Duch wakacji jako specjalnego czasu powoli umiera. Kiedyś robiło się parę zdjęć; każde musiało być przemyślane. Teraz praktycznie większość czasu spędza się, patrząc na świat przez obiektyw i robiąc zdjęcia. Szczególnie to widać w przypadku Japończyków, przez których przez takie podejście do turystyki śmieje się cały świat. Potem takie zdjęcia wrzuca się na serwis społecznościowy i z zapałem tym tchem czeka na aprobatę znajomych, których w większości, nie oszukujemy się, to nie interesuje.

Jednak nie tylko ten powód wpływa na kupowanie marnej jakości „pamiątek”, które i tak w większości są wyprodukowane przez naszych żółtoskórych przyjaciół. Jest to także ignorancja, która przejawia się w niewiedzy na temat kraju, do którego jedziemy. Kupuje się wakacje all inklusiw, last minut, szanowna małżonka pakuje rzeczy do toreb, uspokaja wrzeszczące dzieci, głowa rodziny, ubrana w wyjściowe sandały i skarpetki dokłada coś wysokooktanowego do reklamówek z Biedronki. Wsiadają na pokład budżetowego samolotu z podobnymi do nich wczasowiczami, lecą parę godzin, oczy-

wicie w akopaniamentach krzyków rocznych dzieci, lądują na lotnisku w Egipcie, odbiera ich zamówiony przewodnik Ahmed, z trzema złotymi zębami (sam Allah tylko wie, co się stało z poprzednimi klientami), rzeczy trafiają do hotelu, a rodzina idzie zwiedzać zniszczone i zaśmiecone ulice. Wraca po tygodniu, z naręczem pamiątek i przy każdym zlocie rodzinnym chwali się zdobytym oryginalnym kawałkiem dłoni faraona Cheopsa V.

Przy takim przeżywaniu wakacji nie mamy żadnych szans na zrozumienie tamtejszej kultury, zaobserwowania zachowań ludzkich specyficznych dla ludzi mieszkających w tamtejszych rejonie, taki wyjazd to wyłącznie bezrefleksyjne przemieszczanie się z jednego miejsca na drugie; równie dobrze można by było zostać w domu, a i do ogródka bliżej. Jadąc na wczasy, powinniśmy wynieść coś więcej niż mydełko z hotelu. Powinno to być również przeżycie duchowe, obok przeżycia estetycznego. Coś co ubogaca nasz światopogląd, poszerza horyzonty, zmienia sposób patrzenia na rzeczy.

To niestety zostało sprowadzone do kupienia kawału plastiku, przepłaconego parę razy, nawiasem mówiąc.

Powinniśmy się zastanowić, jako świadomi podróżnicy, co kupujemy, jak się zachowujemy i jak przeżywamy nasze wyjazdy poza miejscowość, miasto, kraj czy kontynent – wtedy uda się porzucić niemalże pogardliwą łatkę turysty i uwolnić ciało, umysł i po części portfel.

Dzień niezorganizowalności

Anonim

Sodoma i Gomora, czyli jak spędziłem Święto Niepodległości.

Jeszcze tak niedawno, a z mojego punktu widzenia, w zeszłą sobotę miało, miejsce jedno z najważniejszych świąt państwowych w Polsce. Była to 99 rocznica odzyskania niepodległości i z tej okazji odbywały się obchody również w Krakowie. Moja drużyna harcerska miała brać udział w przemarszu włącznie z poczem sztandarowym.

Dzień zaczął się całkiem przyjemnie. Wstałem wyspany, ubrałem się i popędziłem na zbiórkę. Na miejscu byłem już o 6:50. Po spotkaniu się z ludźmi oblał mnie zimny pot i czułem, jak nogi się pode mną ugiwały. Okazało się, że kluczowa postać, czyli nasz dowódca ma 40 stopni gorączki i jesteśmy zdani na siebie. Nie chcąc, aby ta informacja wywołała ferment, została ona tylko w kręgu osób będących bezpośrednio pod naszym dowódcą. Dalsze przygotowania wcale nie były mniej nerwowe. Nie mieliśmy jednak zbyt dużo czasu na zmartwienia, ponieważ już o 8:00 musieliśmy zająć miejsce na Placu Jana Matejki.

Już w tym momencie uspokojony wyruszyłem z moją drużyną na pierwszą część obchodów. Zgrabnym krokiem przedostaliśmy się przez Planty i dotarliśmy do Barbakanu. Jakby jeszcze tego nie było mało, okazało się, że przejście od ul. Basztowej nie będzie możliwe. Wyraźnie czułem, że mój puls wzrastał, a z ust nie potrafiłem wydobyć żadnego słowa. Wskutek szybkich decyzji postanowiliśmy wejść na plac od drugiej strony, żwawo go obchodząc. I tutaj, przed samym wejściem usłyszałem rozpoczęcie ceremonii. Pamiętam, że poczułem się jakby coś we mnie pękło. Cała kolumna zastygła od czoła w bezruchu.



Nie był to rodzaj wydarzenia, na który wolno się spóźnić, a tym bardziej oczekiwać, że w takim wypadku zostanie my wpuszczeni. Nie wiem, jak czuli się wtedy inni, ale wiadać było na ich twarzach zmieszanie. Nie chcieliśmy robić tam przedstawienia i niepotrzebnie eksponować sztandaru, więc szybko zarządziliśmy powrót do naszej bazy. Przez całą drogę powrotną ze spuszczoną głową przypominałem sobie wszystkie złe rzeczy, które przytrafiły mi się w życiu. Na miejscu, mimo negatywnych emocji, napięcie po chwili opadło. Musieliśmy przygotować się do drugiej części obchodów, która miała miejsce na Wawelu.

Bez naszego trzonu, który leżał w łóżku z gorączką czuliśmy się mocno skołowani. Dowiedzieliśmy się tylko, że musimy tam być tam o 10:10. Ścierając cały pot z czoła, poczułem się już wystarczająco spokojny. Po odpoczynku wyruszyliśmy w stronę zamku. O 10:20 poczet sztandary, którego byłem członkiem, został poproszony o wejście do katedry pod prawie sam ołtarz. Zrobiłem parę głębokich wdechów i przygotowałem się, żeby ustać spokojnie całą mszę i podążyć za kolegami do środka. Ustawivszy się na miejscu, zacząłem nerwowo oczekiwać rozpoczęcia mszy. Nie było w tym przecież nic dziwnego, gdyby nie to, że byliśmy pierwszym pocztem, a kościół był jeszcze pusty. Od samego rana utrzymywałem kamienną twarz, ale miałem już dość. Czekaliśmy tak aż 40 minut, ponieważ okazało się później, że msza miała zacząć się dopiero o 11:00. Przez prawie dwie i pół godziny w kościele zastanawiałem się, w jaki sposób tak to wszystko się potoczyło. U kresu mojej wytrzymałości zacząłem liczyć od dziesięciu tysięcy w dół. W trakcie wychodzenia z kościoła nasz stan liczbowy był inny niż przy wejściu, ponieważ inaczej moglibyśmy liczyć się z omdleniem dowódcy pocztu. Wychodząc na plac, poczułem zimny wiatr niosący niesamowitą ulgę i skrzydła wyrastające z moich ramion. Zachowując pokerową twarz, a jednak w środku uśmiechając się od ucha do ucha, przygotowałem się mentalnie do ostatniej części harmonogramu.

Czekał nas już tylko przemarsz z Wawelu na Rynek Główny. Z łatwością znaleźliśmy resztę naszej drużyny i ustawiliśmy się w szyku. Po chwili rozpoczął się przemarsz. Nie myślałem już o bolących nogach, zeszywniałych barkach ani innych bolączkach. Wyprostowany, z piersią wypiętą naprzód szedłem dumnie przed siebie. Właśnie w tym momencie brutalna rzeczywistość dała o sobie przypomnieć kończącym podbródkowym. Na ostatnim zakręcie przed wejściem na plac rynkowy jedna z grup przed nami odłączyła się od całego pochodu. Po chwili konsternacji, nie wiedząc, czy również mamy zrobić to samo, spojrzeliśmy po sobie porozumiewawczo i zdecydowaliśmy się pójść w ich ślady. Był to błąd. W trakcie zmieniania kierunku zwrócili nam uwagę żebyśmy wrócili na tory przemarszu. Poczułem się w tym momencie, jak znokautowany bokser na ringu. Nasz szyk zaczął się sypać, na szczęście udało nam się dotrzeć do końca, nie sprawiając sobie całkowitego wstydu. Stojąc na placu, czułem się już martwy w środku. Nie interesowało mnie nic, co działo się dookoła. Stałem tam zrezygnowany do czasu, aż nie opuściliśmy rynku. Po pożegnaniu się wróciłem do domu i spałem głęboko aż do rana.

Cudze chwalicie, swego nie znacie...

Paweł Hadrian

... czyli Dziady VS Halloween

Noc z 31 października na 1 listopada. Dynie wykrojone, poprzebierane dzieciaki latające po domach zgodnie ze staropolską tradycją „cukierek albo psikus”. Jedyni przeciwnicy tych nowych obyczajów to oczywiście babcie, które pogańskie zwyczaje starają się z głów młodejży skutecznie wybijać. Często babcinym argumentem, jest niezgodność z naszymi polskimi tradycjami. Tylko, że jeżeli zagłębimy się nieco w etnografię ziem polskich, to zauważymy, że zgodnie z tradycją powinniśmy odprawić Dziady. No właśnie, tylko co właściwie wiemy o naszym własnym pogańsko – nie pogańskim zwyczaju?



Wszyscy zapewne kojarzymy Mickiewiczowski opis diadowskiego obrzędu, jednak opis ten odnosi się do dość późnej historycznie wersji ceremonii. Dziady podobne do opisanych przez Mickiewicza odprawiane były na ziemiach polskich, litewskich czy białoruskich niemalże do XX wieku. Wersja ta, jest ciekawą syntezą obrzędowości chrześcijańskiej, jak i dawnych wierzeń Słowian i Bałtów. Wielu obrzędów Kościół nie był w stanie wykorzenić, a liturgia w języku łacińskim jeszcze bardziej to utrudniała. Dlatego powstały połączenia świąt kościelnych z pogańskimi, jak na przykład Dziady czy Noc Świętojańska. Jednakże pierwotne Dziady wyglądały nieco inaczej. Noc Dziadów była bowiem czasem, gdy duchy przodków, czyli dziadów, obecne były w świecie żywych. Na rozstajach dróg palono więc ogniska lub grumadki, polana z wyrzeźbionymi podobiznami starców, aby wędrujące duchy mogły się ogrzać. Ognie służyły także jako drogowskaz do domów, aby duchy trafiły do domów potomków oraz by bez przeszkód mogły wrócić do Nawii, prastawiańskiej krainy zmarłych. Przez cały dzień, jak i podczas nocy, zakazane było wykonywanie niektórych czynności, takich jak na przykład szycie, przędzenie czy wylewanie wody przez okno. Wszystko po to, żeby nie znieważyć duchów przodków oraz nie związać ich ze światem żywych. Wieczorem lub w nocy ucztowano na cmentarzach, często upuszczając strawę na ziemię bądź wylewając trunki na groby. Wszystko, co zostało rozlane lub upuszczone, było ofiarą dla zmarłych mającą za-

pewnie rodzinie przychylność przodków. Zwyczaj ten później przeniósł się w niektórych regionach do domów, zamiast więc ucztować przy grobach, uczutowano w domu, zostawiając na noc suto zastawiony stół, aby dusze odwiedzające dom mogły się posilić. Drzwi domu całą noc były uchylone, aby dziady bez przeszkód mogły się dostać do domostwa. Nie palono też w piecach, aby również komin mógł służyć za wejście dla zmarłych. Jednak nie wszystkie duchy mogące przybyć w świętą noc były pożądane. Na grobach osób przeklętych, czyli samobójców, zbrodniarzy lub też osób zmarłych niespodziewaną śmiercią palono ognie, aby złe duchy nie wydostały się z grobów, ogień stanowił bowiem dla nich barierę. Co ciekawe, prawdopodobnie echem tego właśnie zwyczaju jest palenie zniczy na grobach zmarłych. Inną pamiątką po Dziadach jest też puste miejsce przy wigilijnym stole, miejsce dla niespodziewanego gościa wywodzi się od pustego miejsca dla przodków przy stole podczas dziadowskiej uczy. W okolicy święta okazywano też hojność żebrakom, nędzarzom i starym wędrowcom. Wierzono bowiem, że ci będący już „jedną nogą w grobie” ludzie mają szczególny kontakt ze światem zmarłych bądź są nawet wcieleniem zmarłych przodków. W okolicach miejsc sprawowania obrzędów rozstawiano też kraboszki, czyli drewniane maski wyobrażające zmarłych.

Obecnie obrzędy związane z nocą Dziadów nie są zbyt dobrze znane, mimo to ośrodki i grupy rodzimowiercze co roku organizują Dziadowskie rytuały, które według mnie są znacznie ciekawsze i urokliwsze niż halloweenowe przebieranki i domokrążcze eskapady.

Grupy etniczne w naszym technikum

XxX

Ucząc się już prawie trzy lata w murach najlepszego we wszechświecie technikum, jakim niewątpliwie jest ZSŁ, można wysnuć kilka wniosków, które w stu procentach opisują rzeczywistość panującą w naszej elitarniej placówce. Jeden z nich przytoczę, kolejne być może opiszę w innym artykule. Dzisiaj skupię się na tym, który można zaobserwować najbardziej wyraźnie, mianowicie tworzące się małe grupy, składające z kilku elementów, zasadniczo odróżniających się od reszty społeczności naszej szkoły.

Większość naszych uczniów to faceci, niektórzy bardziej są „facetami”, niektórzy mniej, nie mam tu na myśli obwodu bicepsa, lecz dojrzałość, ale przejdźmy do sedna... Wśród męskiej społeczności można zaobserwować nietuzinkowych osobników, którzy zachowaniem, wyglądem, sposobem bycia, znacząco odróżniają się od reszty, często żyją w swoim świecie, mają swoje wyobrażenie na jego temat, swoje teorie dotyczące wielu zdarzeń oraz sytuacji, niejednokrotnie tworzą własne teorie naukowe, które próbują podważyć istniejące już wiele lat i sprawdzające się w wielu dziedzinach życia prawa. Podziwiam ich za to, ponieważ zamiast

szare komórki do granic możliwości, nie zrażają się śmiechami za plecami wywołanymi ich wypowiedziami; być może to oni kiedyś wymyślą coś rewolucyjnego, co zmieni nasz świat. Kto wie? Możemy tylko gdybać i oczekiwać na pierwszych stronach gazet tekstu: „Uczeń ZSŁ wymyślił rewolucyjną metodę budowania nanobotów!”

ZSŁ to fantastyczna szkoła, naprawdę, jest kapitalna, przynajmniej pod tym kątem, każdy chyba ma w klasie taką osobę „ewenement”, która niczym grecki filozof wymyśla w oka mgnienia nowe recepty na zmianę świata. Dzięki nim mamy wiele korzyści (jako normalni, przeciętni uczniowie, którzy mozolnie chłoną wiedzę i nie mają ochoty na nic poza programem nauczania), możemy czerpać z nich inspirację, jak podczas zamętu z nauką znaleźć czas na prywatny rozwój w innowacyjnych dziedzinach życia, jak żyć niekonwencjonalnie, jak samodzielnie się realizować i pogłębiać swoją wiedzę bez pomocy nauczyciela, a także będziemy mieli kiedyś co opowiadać swoim pociechom, jak to było w czasach szkolnych.

Jeśli takiego kogoś w klasie nie macie, gorąco zachęcam do wyjścia z sali na przerwę, poszukania odpowiedniego okazji reprezentującego krąg filozofów oraz nawiązanie z nim rozmowy, z pewnością osoba ta zasypie Was dzieśiatkami swoich teorii o otaczającym nas świecie.

Pomartwię się tym jutro...

Michał Jasiński

... czyli słów parę o pownej dość znanej książce

Mogłoby się zdawać, że Scarlett, dla której ta kwestia jest niemal mottem, będzie nieodpowiedzialną i rozpuszczoną panną. Może nawet nią jest. Ale problemy, na jakie natrafia oraz dzielność, z jaką sobie z nimi radzi, budzą w nas pewien podziw i delikatne współczucie. No i czy nie sprawiają, że nie możemy bez namysłu uznać ją za „złą”? Okazją do przemyśleń na ten i inne tematy była dla mnie książka pt. „Przeminęło z wiatrem” Margaret Mitchell, która jest w naszej



podejść klasycznie do problemu, spróbować zrozumieć dane zagadnienie czy to matematyczne czy to fizyczne, informatyczne bądź z dziedziny elektroniki, a nawet z języka polskiego(!), oni zawzięcie próbują zrobić coś inaczej, starają się przekonać nauczyciela do swoich pomysłów, że jednak jest inaczej. Eksploatując swoje

bibliotece od xx lat. Należy do gatunku powieści, choć trochę racji będą mieć ci, którzy powiedzą, że jest to romans lub powieść historyczna. Została opublikowana w 1936 roku, w sześcioczęściowej wersji, a trzy lata później doczekała się kultowej ekranizacji z Vivien Leigh i Clarkiem Gable w rolach głównych.

Akcja rozpoczyna się w kwietniu 1861 roku, w beztrudnej i słonecznej Georgii, gdzie, przechodząc ulicą, czujemy zapachy grilli i damskich perfum, dopełnione wonią kwitnących drzew i kwiatów. Główna bohaterka to Scarlett O'Hara, szesnastoletnia córka irlandzkiego imigranta i francuskiej arystokratki. Jak pisze o niej autorka, „Nie była piękna”, ale umie oczarować sobą młodych mężczyzn, a czas swój spędza na strojeniu się w wytworne suknie i zabawach. Akcja koncentruje się ściśle wokół niej, jesteśmy świadkami jej dorastania i decyzji podejmowanych w trudnych czasach. Na popołudniowym przyjęciu dowiaduje się, że Ashley Wilkes, mężczyzna, w którym jest zakochana, oświadcza się Melanii, jej znajomej. Typowe dla Scarlett jest wewnętrzne zaprzeczenie całej sytuacji. Poznaje również tajemniczego i kontrowersyjnego Retta Butlera, który będzie odgrywał coraz większą rolę w życiu bohaterki. Nad Ameryką wisi jednak widmo wojny i bohaterowie zostaną poddani próbie...



Barwne opisy pierwszej części ukazują nam beztrudność przedwojennego Południa. Przyjęcia ogrodowe, towarzyskie flirty, błahe sprzeczki i charakterystyczna pewność siebie południowców – to wszystko zmierzy się wkrótce z mającą się rozpocząć wojną secesyjną. Da nam to szansę na spojrzenie na pewne sprawy z nieco innej perspektywy. Niewolnictwo, rasizm i wojna – to wszystko przestaje być jednoznaczne i zmusza nas do zrewidowania swoich poglądów. Nie sposób również napisać wyczerpująco o bohaterach. Niektórzy wywołują sympatię i politowanie, a niektórzy niemalże proszą się o krytykę. Tylko czy wolno nam ich oceniać?

„Przeminęło z wiatrem” to niezaprzeczalna klasyka światowej literatury. Trudno o obszerniejszą, a już naprawdę trudno, o piękniejszą i bardziej szczegółową relację z wojny secesyjnej, oczami tak wyjątkowej bohaterki. Niektórzy z nas znajdą w książce jedną na tysiące historię o miłości, inni lekcję męskości i zaradności, a jeszcze inni po prostu zachwycą się magicznym, starym Południem. Ja zaś dodam tylko, że mimo strasznej dla wielu długości, warto po nią sięgnąć.

Nurkowanie – mity i fakty

Krzysztof Koza

W tym artykule chciałbym się podzielić moim doświadczeniem związanym z nurkowaniem.

Nurkowanie to piękny sport wodny, który pozwala nam na zobaczenie życia podwodnego z całkowicie innej perspektywy. Wielu ludzi, gdy słyszy o nurkowaniu, myśli o nim jako o sporcie ekstremalnym. Tak, to prawda, jest to hobby o podwyższonym ryzyku, ale w obecnych czasach organizacje bardzo rozwinęły reguły bezpiecznego nurkowania.



Jestem uczniem klasy 4Ea, w tym roku skończyłem kurs Instruktorstwa IDC w największej organizacji nurkowej na świecie zrzeszającej prawie 3/4 wszystkich nurków. Mam za sobą już 4-letnie doświadczenie i ponad 150 zanurzeń

i śmiało mogę powiedzieć, że to jest piękny i niesamowity sport.

Oczywiście jak ze wszystkimi sportami o podwyższonym ryzyku, są pewne mity oraz zaniechania ze strony np. telewizji. Każdy z nas widział, jak nieraz reporterzy mówili o tym, jak nurkowie ratownicy oddychają „butlą z tlenem”, niestety fakty są takie, że tak naprawdę to nurkowie rekreacyjni czy ratownicy używają zwykłego powietrza, takiego jak na powierzchni, jednak pod innym ciśnieniem. butle są napełniane powietrzem do 200 a nawet 300 atmosfer z zależności od zaworów, typu butli itp. Na powierzchni panuje ciśnienie na poziomie 1ata, podczas zanurzania na organizm działa całkowicie inne ciśnienie niż na powierzchni, umownie stosuje się wzrost o 1ata co 10m (wszystko zależy od wody, w słodkiej minimalnie mniej niż 1ata, ale zaokrąglą się do łatwiejszych obliczeń). Ciśnienie całkowite na danej głębokości wynosi: Ciśnienie na powierzchni + Ciśnienie słupa wody = Ciśnienie absolutne.

Zmiana ciśnienia wpływa również na szybkość zużywania powietrza z butli, ponieważ automat musi podać go pod ciśnieniem środowiska, dlatego podczas głębszych nurkowań nurkowie biorą ze sobą dodatkową butlę tzw. Stage, pozwala ona na dłuższe nurkowanie, lecz wciąż trzeba pamiętać o limitach bezdekompresyjnych. Aby każde nurkowanie było bezpieczne, powinno zostać wcześniej zaplanowane, trzeba nurkować z partnerem oraz zawsze sprawdzać sprzęt przed zanurzeniem.

Podczas planowania nurkowania uwzględniamy maksymalną głębokość, kierunek pływnięcia, czas denny pamiętając o limitach bezdekompresyjnych. Limity te są to maksymalne czasy, jakie możemy spędzić na danej głębokości, aby nie wpaść w dekompresję. nurkowanie rekreacyjne zabrania przekraczania tych limitów, a głównym powodem jest to, że jesteśmy wtedy przesyleni azotem i musimy odczekać czas na danej głębokości. problemem w tym wypadku jest głównie zapas powietrza, który podczas długiego nurkowania nie starczyłby na dekompresję. Tak na-

prawdę te czasy są i tak orientacyjne i zawsze trzeba brać jeszcze zapas od tej normy. czynników jest wiele, m.in. może to być uniemożliwienie wynurzenia się w danym momencie, gdyż nasycamy się azotem szybciej w zimnej wodzie, nadmierny wysiłek również powoduje szybsze nasycanie się. I tutaj przechodzimy do kolejnego mitu, również propagowanego przez telewizję. Otóż nieraz na filmach widzimy nurków jak płyną bardzo szybko, niestety to również jest nieprawda, ponieważ pod wodą nurek porusza się jak najwolniej, szybkie płynięcie, szamotanie się powoduje zwiększony wysiłek, a co za tym idzie, zwiększenie zapotrzebowania organizmu na tlen, przez to szybciej nasycamy się azotem, dlatego tak ważne pod wodą jest powolne, spokojne oddychanie oraz nieprędkie poruszanie się.



W obecnych czasach dostęp do całkowicie innego świata jest na wyciągnięcie ręki, organizacje wciąż rozwijają zapewnienie bezpieczeństwa nurków oraz dbają, aby ten piękny i tajemniczy świat pozostał niezniszczony, ponieważ chcą, aby ludzie mogli podziwiać to za 10, 20 czy 100 lat. Zachęcam wszystkich do spróbowania tego pasjonującego i ciekawego hobby, jakim jest nurkowanie.

Biegiem przez Kraków

Michał Grabowski

Czyli jak zaczęła się moja pasja z bieganiem

Dresowe spodnie, podkoszulek, polar, szalik, buty do biegania, słuchawki na uszach – oto jak wygląda mój poranek dla typowego krakowskiego biegacza jesiennozimowego, których często widzimy na ulicach, pędzących za... No właśnie, za czym? Jaki jest nasz cel, wyruszając w półgodzinną albo godzinną podróż po mieście, biegnąc za nieuchwytnym?

Był to dokładnie ten sam okres czasu – tylko rok temu – gdy zacząłem biegać regularnie. Początkowo były to krótkie, pięcio – lub sześciokilometrowe trasy. Wkrótce przerodziło się to w znacznie dłuższe trasy – uwielbiałem wybierać trasę do Rynku Głównego, robić kółko wzdłuż Plant i wtedy zwyczajnie wracać do domu inną drogą. Zdarzało mi się po drodze kupować jakiś napój energetyzujący, wypijać go w jednej chwili duszkiem, na dwuminutowej przerwie i biec dalej. Po takim dwugodzinnym biegu często moje mięśnie były tak zmaltretowane, że, kładąc się do łóżka koło północy, spałem do południa, a budząc się, wciąż odczuwałem ogarniające mnie zmęczenie i ból w całym ciele. Było to wyzwanie, które sam sobie ustaliłem – biegać co najmniej dwa razy miesięcznie, lecz długimi dystansami, takimi po piętnaście, osiemnaście kilometrów pod wieczór. Sprawiało – i wciąż sprawia – mi to wiele przyjemności.

Jako że była wtedy już prawie zima – listopad w zeszłym roku nie był łagodnym miesiącem – ubierałem się ciepło i w taki sposób, aby całe moje ciało było

zakonserwowane ubraniami. Nie grubo – każdy dodatkowy balast zwiększał wysiłek podczas biegu. Ważne było przede wszystkim to, aby każdy gołą przestrzeń była jakoś przykryta. Spodnie wciśnięte w długie skarpetki, otulona szalikiem szyja (a każda dziura zakryta), czapka na głowie, rękawice na rękach, buty odpowiednio dobrane, ale żeby nie były to zimowe trampki. I najważniejsza kwestia – wybranie sobie takiego dnia, w którym nie było smogu. Kraków to naprawdę zabójcze miasto w zimie, i często wyjście na świeże powietrze o tej porze roku grozi poważnym uszczerbkiem na zdrowiu. Śledzenie wszelkich informacji i mediów o smogu w Krakowie było dla mnie kluczowe każdego wieczoru, kiedy planowałem wybiec na miasto. Tak się składa, że bywały dni, a nawet tygodnie, kiedy nie można było tego zrobić, bo miasto przez cały ten czas było pod wpływem trujących gazów. W sprawdzaniu tych informacji pomagały mi różnorakie aplikacje. W tej chwili jest to Powietrze Kraków, które dość dobrze sprawdza się w swojej roli. Pamiętajcie – nigdy nie lekceważcie swojego zdrowia. W naszym mieście nie zawsze sport to zdrowie – i na to trzeba uważać!

Kiedy zaczął padać śnieg, w widokach, jakie prezentowały mi się podczas biegania, można było się zakochać. Ktoś mi powie – śnieg, co w nim takiego pięknego, przecież widzimy go w prawie każdą zimę i chyba każdy widział już śnieg! Podczas tego ekscen-



**KRAKOWSKI
BIEG
NIEPODLEGŁOŚCI**

trycznego doświadczenia, którym jest bieg w śniegu, można dostrzec różnice o niebywałym znaczeniu w postrzeganiu tego zjawiska. Pod wpływem nieuchronnego zmęczenia, bieg przez Planty jest tym czym woda dla spragnionego. Przez muzykę, jaką słyszymy w słuchawkach, przez wybuch światła, różnorodność widoków, scenerii, krajobrazów miejskich, zdecydowanie zwiększa się nasze poczucie estetyki. Pojawia się myśl „Teraz w tej chwili właśnie tu biegnę i widzę to wszystko, czego nie widzą

ludzie przejeżdżający w autach; czego nie widzą zwykli przechodnie o szarych twarzach. Widzę duszę tego miasta, widzę jego sekrety. Widzę ciemność, światło, miejsca, w którym są ludzie i miejsca, w których kompletnie ich nie ma.” – multum emocji kotłuje się we mnie, kiedy biegnę wieczorem w zimie przez Kraków. Co dla mnie jest szczególnie ważne – to bieg wieczorem lub w nocy, a nie w dzień lub porankiem (chyba że bardzo wczesnym). Wtedy na mieście jest szczególnie – i nie ma zbyt wielu ludzi na ulicach po północy.

Teraz niewiele się zmieniło. Wciąż biegam od czasu do czasu, chociaż zdrowie nie dopisuje mi już tak dobrze jak w zeszłym roku. Znowu zbliża się zima. Wczoraj pierwszy raz ubrałem szalik podczas biegu pięciokilometrowego, ponieważ temperatury oscylowały w granicach 0 stopni. Wielką przyjemność sprawiają mi biegi organizowane przez miasto – takie jak niedawny Bieg Niepodległości w dniu 11 listopada. Przyjemnością wówczas jest nie tylko zdobycie medalu i pokazanie się na biegu z innymi – ważnym jest pokonanie samego siebie i pokazanie, że mimo wielu przeciwności można w tym biegu wystartować i skończyć go z zadowalającym dla nas wynikiem – to jest najważniejsze. Co cieszy przede wszystkim to entuzjazm rodziny i przyjaciół, kiedy przekracza się linię mety. Będą to jedne z najważniejszych dla mnie wspomnień przez wiele lat. Teraz zbliżają się do nas kolejne terminy i wydarzenia, organizowane już nie pierwszy raz – Bieg Mikołajkowy oraz Bieg Sylwestrowy. To okazja, w której możesz się pokazać i spełnić jako biegacz, jeżeli tylko chcesz spróbować. Niestety, za każdy taki bieg trzeba zapłacić wpisowe, aczkolwiek jest to nieuniknione, jeżeli pragniemy zdobyć medal, prawda? Zachęcam wszystkich do wspólnego biegu – w takim klimacie, jakim jest ostatni dzień roku. Można spróbować się na dystansie pięciu lub dziesięciu kilometrów. Ja z pewnością biorę ten drugi pułap, a wy?

Apokalipsa nie całkiem świętego Technika

Technik

Ja, Technik, wasz brat i współuczestnik w nauce i wytrwaniu w Technikum Łączności byłem na lekcji zwanej telekomunikacją z powodu złych wyborów i świadectwa z gimnazjum. Doznałem zachwycenia w dzień środy i posłyszałem przed sobą potężny głos jak gdyby telefonu stacjonarnego.

I ujrzałem:

gdy Wódz otworzył pierwszą z trzech pieczęci, usłyszałem pierwszą z dwóch istot kablowych, gdy mówił jakby głosem gromu:

„Kabel miedziany!”

I ujrzałem:

oto kabel, a siedząca w jego środku żyła z miedzi wykonana, była lżejsza od innych istot kablowych i wyruszyła jako pytanie na kartkówce jako najbardziej dostępna, by być [jeszcze] bardziej dostępną. A gdy otworzył pieczęć drugą, usłyszałem drugą istotę kablową, gdy mówił: „Kabel światłowodowy!”

I wyciągnął inny kabel – barwy czarnej, a siedzącej w jej wnętrzu światłości dano odebrać ziemi wolny transfer danych, by ze sobą ludzie czatowali i zdjęcia wysyłali i dano mu wielki ekran zwany przez Wodza folią ekstrasfolową.

I ujrzałem:

gdy otworzył pieczęć trzecią, nastąpiło wielkie „trzęsienie” w sali i wszyscy zamilkli jak na pogrzebie, a cała radość z życia wyparowała, bo oto Wódz zaczął pytać swych uczniów i padło na mnie, brata waszego, Pan nasz szybko zweryfikował me wiadomości merytoryczne i patrząc w monitor, zadał swe ostatnie pytanie: „Na ile się oceniasz?”, dostałem ocenę i pokłon oddałem mocy telekomunikacji, bo władzę dał Wodzowi.

I Wodzowi pokłon oddaliśmy, mówiąc:

„Któż jest podobny do Wodza i któż potrafi rozpocząć z nim walkę?”

			6	5		3		
		5			8		7	
		1		7	2	6		5
	5					8		7
				4				
1		7					6	
9		3	2	6		7		
	1		5			4		
		4		8	1			